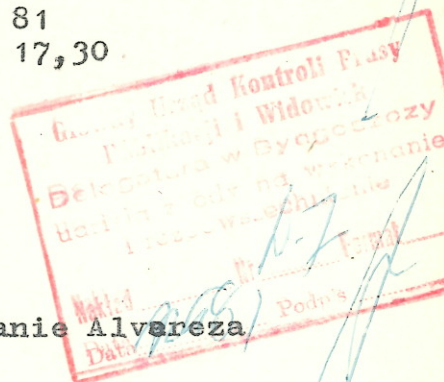


P U Ł A P K A

Wychodząc z tej willi, opuszczając mieszkanie Alvareza, skonstatował z lekkim zdziwieniem, szybko zastąpionym przez ocierającą się pogardę obojętność, że wie już wszystko i że ~~nie~~ ostatnie pouczenie było mu zupełnie zbędne. Alvarez, człowiek o nieprzeniknionej twarzy, długo i wytrwale uprzytomniał mu znaczenie oczekującej go misji oraz z przyjęciem przestrzegał przed zgubnym wpływem nieprzewidzianych okoliczności, mogących utrudnić mu wykonanie jego zadania. Utrudnić, ale nie uniemożliwić; tej drugiej możliwości Alvarez w ogóle nie ~~prze~~ rozpatrywał, jakby chciał przez to powiedzieć, że jego tajna misja nie może zakończyć się inaczej niż powodzeniem.

Padła deszcz. Na pustej ulicy jego kroki rozbrzmiewały z niepokojącą siłą, tłumione jedynie przez spływające z zachmurzonego nieba krople ciepłego dżdżu. Parokrotnie oglądał się za siebie, lecz nikt nie podążał jego śladem / lub tak mu się zdawało/. Po każdym obejrzeniu się, ~~w tył~~, odruchowo przyspieszał kroku. To był nawyk; tego nauczyciela nie zdołali w nim stłumić ani wyrugować.



ze najbliższą pensją zatrzymał dowódcę.

141

-2 -

121
siebie i przejął go mały chłód. Zgniózłony fiaker znajdował się w nieznaczonej odległości za jego pojazdem. Odkrycie jego owe początkowo przeraziło go; potem od owego przerażenia przeszedł do niemal nikczemnej rezygnacji. Pomyślał, że wszelkie jego rachuby okazały się zawodne; pomyślał, że żaden z podjętych środków ostrożności nie zdawał egzaminu. Fiaker ciągle przybliżał się, a on zdobył się tylko na tchórzliwe zsunięcie się w głąb siedzenia. Skulony, zastanawiał się, czy jest to wyłącznie wstęp do poważniejszej obławy, czy też tamtym idzie tylko o uniemożliwienie mu wydostania się z Annopolis.

Decyzję podjął całkowicie niespodziewanie, w okamgnieniu. Wyskoczył z pędzącej dorożki i sturlał się na chodnik, a raczej na rozpościerającą się na nim kupę żółtego piachu. Następnie wpadł do pierwszej z brzegu bramy, wydostał się z niej, przemknął przez jedno ogrodzenie, później przez drugie, dostał się na teren innej posesji, wbiegł na prowadzące w górę schody, z trudem unikając zderzenia z jakimś podążającym w przeciwnym kierunku mężczyzną, wydostał się na spadzisty dach i już nie schodząc w dół ruszył dachami w stronę dworca zachodniego, spodziewając się, że w ten sposób łatwiej pozbędzie się swych prześladowców.

- 3 -

Dopiero po kilku minutach szaleńczego, zapierającego dech w piersiach biegu, odważył się zatrzymać i ~~wydstać~~ ^{powrócić} z powrotem na ulicę. I wtedy zrozumiał. To byli oni; jego organizacyjna eskorta; uciekał przed tymi, którzy podjęli się zapewnić mu bezpieczeństwo podczas ostatnich dni jego pobytu w obcej metropolii. Roześmiał się w duchu i nazwał się idiotą, ~~ale~~ potem przyszło mu na myśl, że to mógł być każdy, również agenci gubernatora o nienawistnym imieniu.

Teraz szedł już wolno, nie oglądając się za siebie, tylko przystając i podziwiając bogactwo towarów rozłożonych ~~po~~ ^w sklepowych witrynach. Tak zaszedł na dworzec, pierwszy z punktów jego ~~twożliwej~~ wędrowki.

W dworcowej kasie kupił bilet do Aschbern i przekonał się, że za ledwie nieznacznie uszczuplił przeznaczone dlań fundusze. Drugie odkrycie było większej wagi: jego pociąg miał odjechać dopiero za szesnaście minut. Spędził te minuty na pozornie spokojnym przechodzeniu się wzdłuż ~~szwarów~~ torów.

Gdy pociąg wreszcie nadjechał/ z nieznacznym, ale w jego mniemaniu niedopuszczalnym opóźnieniem/, wszedł do niego natychmiast i przywarł do okna. Pociąg ruszył. Jakiś mężczyzna w szarym płaszczu biegł bezskutecznie peronem. Przerażony, drżący, odsunął się w głąb przedziału, z dala od groźnego okna.

Podróż miał nieciekawą. Monotonny stukot kół usypiał go, a on wiedział, że zasnąć mu nie wolno. ~~W~~iejszcie do przedziału

~~pierwszego~~ pasażera powitał z ulgą. Potem wszedł ktoś jeszcze; gdy tych dwoje zaczęło ze sobą rozmawiać, w usnął.

Zbudził się jednak na czas, nie przegapił stacji, na której musiał wysiąść ~~z pociągu~~ / nie było to Aschbern/. Stacyjka była niewielka i zaniedbana. Czekają go teraz sześć mil pieszej wędrówki. Szedł polnymi drogami, unikając ludzi. Pod wieczór dotarł do Tlusculan, ostatecznego celu swej wyczerpującej podróży. Bez wysiłku odnalazł dom, w którym miał spędzić pięć najbliższych tygodni, o których wiedział, że będą ciągnęły się nieskończenie długo.

Rankiem nie umiał zrazu zorientować się , gdzie się znajduje, ani w jakim celu tu przybył. Rozważał różne możliwości, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej ; w końcu natrafił na właściwą. Odkrycie owo nie ucieszyło go; poczuł dławiący strach i po raz pierwszy zwątpił, czy jest odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania, które winno mu przynieść nieśmiertelną sławę i rozgłos na całym obszarze Terytorium, nie tylko na Północy i w Annapolis.

Historia następnych dni ~~jest~~ ^{była} zmienna i niełaskawa; to wpadł w rozpacz, to ~~peruszył~~ ^P się jak paw z powodu swego bohaterstwa, to śmiał się głośno ze swoich absurdalnych lęków, to skowytał ^u jak pies i chował się po kątach przed wyimaginowanymi prześladowcami. Szóstego dnia uspokoił się i przemógł w sobie chęć ucieczki.

Zaczął czytać; pogrążył się całkowicie w chaotycznym świecie literackich wizji, lecz po dwóch dniach znowu ogarnęło go zwątpienie i znów jego rozpaczliwe krzyki przecinały ciszę opustoszałego domostwa.

Z owego zgubnego stanu, tak bardzo narażającego na szwank powodzenie poruczonej mu misji, wybawiła go dopiero ucieczka w dziedzinę, która przedtem dla niego nie istniała, w filozofię. Swoje rozważania zaczął od próby ustalenia odpowiedzi na pytanie, czy słuszne jest dopuszczenie ^{hipotezy} możliwości o niematerialnych prapoczątkach Wszczęhświata, o istnieniu Boga. Wiedział, że nie będzie to łatwe i że może się to nie udać, tak jak nie powiodło się tylu innym myślicielom, ale nie zrażał się tymi trudnościami, ponieważ nie mogły one go przerazić. Rozumował / z przerażającą jasnością, że w jego sytuacji ukojenie może przynieść mu wyłącznie pogrążenie się ^w jakimś nierozwiązanym ^z problemie. ^z wątpliwościami natury egzystencjalnej uciekł w metaficzne, najdoskonalsze z możliwych.

Najpierw założył, że Boga nie ma. Jeszcze przed godziną zgodziłby się z tym bez wahania, lecz obecnie tak prosta odpowiedź nie mogła mu wystarczyć. Tytułem intelektualnej próby przyjął, że Bóg istnieje. Ale to stwierdzenie nie usatysfakcjonowało go. Było zbyt jednoznaczne, nazbyt przypominało pierwszą odpowiedź. Wzbogacił je więc domniemaniem, że nieistniejący Bóg i s t n i e j e; Bóg jako nicość, totalna i ogarniająca wszystko, to mogło przestraszyć każdego, lecz nie człowieka, który niebawem ^{umrze} ^{umrze}.

W końcu oszalał - albo zdawało mu się, że oszalał. Stracił poczucie przepływu czasu i świadomość ^{mojej} misji do spełnienia, zaprzestał abstrakcyjnych spekulacji myślowych i ograniczał się wyłącznie do powtarzania słów organizacyjnej przysięgi: Przysięgam, że nigdy nie zawiodę zaufania współtowarzyszy i że zawsze będę gotowy na najwyższą ofiarę. Przysięgam, że... Z tego kolistego delirium wybawiło go dopiero dotknięcie czyjejs ręki.

- Odejdź - powiedział. - Ty jesteś widmem, nie człowiekiem.

Nie dręcz mnie już więcej. Odejdź.

Nic; długa, przerażająco długa chwila ciszy.

- Nazywam się Jacobs. Jestem tym, na którego czekasz od pięciu tygodni.

- Nie oczekuję tu nikogo. Odejdź, przestań mnie dręczyć.

Znowu nic.

- Rozumiem twoje obawy. Oto umówiony znak - i ~~ten~~ podsunął mu do oczu niewielki kawałek wypłowiałego materiału. - Przeszukaj swoje kieszenie. Powinieneś znaleźć w nich bliźniaczy skrawek.

Zrób to.

Niechętnie wstał i wykonał polecenie.

- Kieszenie mam puste - rzekł po chwili.

- Kłamiesz. Przeszukaj je jeszcze raz.

- Tak - powiedział nagle. - Nie mówię prawdy.

153

- A znasz ją?

Nie odpowiedział.

- Oto ładunek wybuchowy i rewolwer - oznajmił Jacobs kładąc mu wymienione przedmioty na stole. - Posłużysz się nimi jutro, o wpół do dziewiątej. Nie zapomnij: o wpół do dziewiątej.

Wyszedł, pomyślał z ~~nu~~ ulgą. Spojrzał na stół i niezwłocznie uciekł spojrzeniem w bok. Ale nic się nie zmieniło. Pistolet i bomba nieodzowne atrybuty zamachowca, nadal niepokoiły zielony blat stołu

Poczuł się zmęczony i stary. Ogarnął wzrokiem izbę: krzesła, łóżko i ściany ~~uśmiechały się do niego szyderczo, drwiąc z jego niepotrzebnych obaw~~. Przecież czeka mnie boskość! - pomyślał. - Niebycie będące boskim byciem wszystkim. Przystanę być już tylko jedną rzeczą, tylko jedną...

Nie znaleźli jednak tym razem pocieszenia w metafizyce. Rzeczywistość realna zatriumfowała nad imaginacją, zmuszając go do czynu, do zamordowania jutro, w wpół do dziewiątej ^u nikczemnego parwenisza^a Benedettiego i do złożenia przy tym ofiary w z własnego życia.

Podszedł do stołu i wziął broń do reki. Był to sześciostrzałowiec dużego kalibru. Wystrzelone z niego kule miały, w myśl zało-

zeń planu, zgasić ziemską karierę gubernatora i wepchnąć go w objęcia piekieł. Starannie przygotowany scenariusz zamachu przewidywał najpierw rzucenie bomby w stronę karety Benedetiego, a następnie - o ile zamachowiec przetrwałby wybuch bez szwanku - dobitcie gubernatora strzałami z rewolweru. Tak przygotowany i przeprowadzony plan gwarantował niemal absolutną skuteczność zamachu i jednocześnie nie dawał mu żadnej szansy na ocalenie. Musiał zginąć; jeśli nie od bomby, to od własnej kuli; jeśli nie od kuli, to od cięcia szablą jednego z oficerów osobistej ochrony Benedetiego.

Ważąc pistolet w dłoni zastanawiał się nad innym scenariuszem zamachu. Chciał ostrzelać powóz z dachu jakiegoś budynku, a potem uciec. Przekonywał się do tej możliwości, pieścił ją, smakował, a później odrzucił jako nieskuteczną i również nie dającą mu szansy na ocalenie - zabiliby go w przypadku niepowodzenia własni towarzysze ze spiskowej organizacji, których zaufanie ^{by} zawiódłby.

Położył się na łóżku i po długich męczarniach zasnął. Koszmar, który niepokoił go we śnie, zbudził zamachowca na trzy kwadransy przed rozpoczęciem akcji. Zapalił papierosa i czekał. Potem wyszedł z domu.

Na miejsce zamachu dotarł bez trudu. Ukrył się w cieniu filara i wbił wzrok w kierunku, z którego powinien pojawić się orszak gubernatora.

Najpierw zobaczył trzy czwórki kawalerzystów z lancami, później samotnie jadącego ~~mg~~ oficera, za którym podążał zaprzężony w araby powóz. Oczekał chwilę, wyciągnął śmiercionośny ładunek z kieszeni płaszcza i wybiegł zza gęstego szpaleru wiwatujących mieszkańców Tlusculan.

To stało się zupełnie niespodziewanie, tak niespodziewanie, że aż zwątpił w realność tego zdarzenia. Ale piekący ból w prawej łopacie narastał nieus⁺zannie, a w powietrzu unosił się jeszcze huk wystrzału. Wszystko to ^{K/}skłoniło go do natychmiastowego obrócenia się w bok.

Jacobs, jeden z rewolucjonistów, ostatnie ogniwo długich i mozolnych przygotowań do zamachu, stał nieopodal a z dymiącym pistoletem w dłoni i mierzył w jego stronę. Błyskawica myśli rozdarła umysł niedoszłego zamachowca: Jacobs okazał się prowokatorem, Jacobs zdradził, Jacobs zaraz wystrzelił ponownie.

Gestem rozpaczony wyszarpnął lewą ręką rewolwer z kieszeni i w

tym momencie ugodziła go druga kula. Podając, pomyślał, że szerokie grono wtajemniczonych w jakikolwiek spisek jest absurdem i że ten, kto pragnie zgładzić tyrana, nie może dzielić się z nikim swymi nadziejami. Pomyślał to i przestał być w sposób nieodwołalny jedną rzeczą, tylko jedną; nicość /boska nicość?/ zawiadnęła nim i przywołała go do siebie; przywołała nieodwołalnie i na zawsze.